Gedali

Eliza Orzeszkowa



E. ORZESZKOWA.

GEDALI.

WARSZAWA 1905 SKŁAD GŁOWNY
W KSIĘGARNI: E. WENDE I SPÓŁKA.



CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.


a szeroką równinę wieczór letni spuszczać zaczynał ten zmierzch przeźroczysty, w którym wszystko przyćmionem jest, ale widzialnem. W tym powstającym zmierzchu ścierniska nie utraciły swej żółtej barwy i chropowatej powierzchni, drogi odcinały się od pola piaszczystą linią, kwitnąca gryka mętnie bielała, grusze polne przybrały kształty pękate, a włoskie topole, jak kolumny, sterczały nad zmąconemi liniami zabudowań małego folwarku. Na jednym skraju nieba błądziły jeszcze ogniste szkarłaty zachodu; na innym zgęszczone obłoki stanęły murem tak ciemnym, że można byłoby w nich dojrzeć upostaciowanie wstępującej na widnokrąg nocy. Powietrze było ciepłe i ciche. W ścierni odzywały się przepiórki; nad białą gryką zaczerniał czasem nietoperz i, zakreśliwszy w locie półkole, kędyś przepadał; od niedalekich pastwisk dolatywało rżenie koni. Zresztą, zwierzęta, ptaki i owady spały; ludzi nigdzie widać, ni słychać nie było. Istnienie ich objawiało tylko kilka światełek, migocących śród zabudowań folwarku.

W zmroku i milczeniu rozległych sennych pól jeden tylko człowiek szedł drogą, nad którą ze stron obu stare wierzby pochylały swe węzłowate, dziwacznie powykręcane gałęzie. Nie zmierzał ku folwarkowi; owszem, minął go i zarazem wyszedł z pod gęstych gałęzi wierzb na czyste pole. Tu ostatki świateł słonecznych, tułające się jeszcze na zachodzie nieba, ogarnęły postać jego wysoką, cienką, zgarbioną, pod obarczającym mu plecy tłómokiem. Ubranie miał długie, aż do stóp sięgające, zgniecioną czapkę z podartym daszkiem, obuwie ciężkie i białe od pyłu. W ręku trzymał kij, na którym się wspierał. Szedł bardzo powoli. Od kilku tygodni panowała w tych stronach posucha, która drogę uczyniła piaszczystą; przytem znajdowało się na niej mnóstwo kamieni. Stopy idącego uderzały o kamienie, albo grzęzły w piasku, podnosząc zarazem

małe tumany krztuszącego pyłu; że zaś, niosąc tłómok, twarz musiał ku ziemi pochylać, chwytał kurzawę w usta i gardło, a oddech jego ciężki i spieszny szemrał i chrypiał w ciszy, głuszony czasem krzykiem przepiórki, rzucającej z ciernisk jasne, wesołe nuty. Raz światło zachodu, nietrwałe i blade, przemknęło mu po twarzy. Była ona podłużną, ciemnym zarostem otoczoną; miała białość opłatka zaprawionego woskiem, kości szczęk sterczące, usta wpółotwarte i oczy utkwione w ziemi.

Stanął, aby odpocząć, lecz wyprostować się nie mógł, bo tłómoka z pleców nie zrzucił. Stał więc zgarbiony, na kiju wsparty i, tylko wzrok podniósłszy, patrzał w górę na gęstniejący płaszcz zmroku, czy przerzynający go górą pas białej mgławicy. Wtem powiała nań świeżość obficie spadłej rosy, zmieszana z rzeźwą wonią bujnej roślinności. W gęstwinie jakiejś zaszumiał cichy szelest; było to jakby przemknięcie się zająca czy kota, a może zatrzepotanie skrzydeł obudzonego w nizkiem gnieździe ptaka. Spojrzał na pole; rośna świeżość biła z łanu, okrytego gęstą zielenią grochu, w której sennie szemrało mnóstwo istot żyjących. Tu i ówdzie na puszystej powierzchni bielały jeszcze spóźnione kwiaty, długie, zwikłane łodygi, gniotąc się wzajem, kładły się na ziemię pod ciężarem wielkich, dojrzałych strąków.

U brzegu piaszczystej drogi, człowiek zgarbiony pod ciężarem grubego tłómoka pochylił się jeszcze niżej; po chwili kij wypadł mu z ręki, a obie dłonie, popchnięte jakby wolą od niego niezależną, wyciągnęły się ku zielonym łanom. Cofnął je przecież i zdawać się mogło, że wnet pójdzie dalej, lecz nogi jego jakoby w ziemię wrosły.

— Aj, aj! aj! och!

Były to westchnienia żądzy. Głową w obie strony poruszył, językiem o podniebienie cmoknął, tłómok z pleców na drogę zrzucił i, na klęczki padając, obie dłonie w gęstwinie grochu zatopił. Teraz

słychać było chrzęst odłamywanych strąków i głośne chrupanie ich w chciwych zębach. Czołgał się na klęczkach coraz dalej. Szczęki jego poruszały się szybko i ręce latały od gęstej zieloności do ust i od ust do zieloności. Strąki grochu były oblane rosą i trudno byłoby powiedzieć, czy łakomie pożerający je człowiek zaspokajał bardziej głód, czy pragnienie. Co pewna, to, że jadł i pił zarazem, więcej nawet pił, niż jadł. Czoło miał spieczone skwarem dziennym i usta pełne pyłu; więc schylił się tak nizko, że całą twarz utopił w mokrej gęstwinie i — jeść przestając, zdawał się odpoczywać w cichej rozkoszy.

W tej samej chwili, niedaleko, o kroków kilkadziesiąt, podniósł się z ziemi człowiek inny, wsłuchiwał się i wpatrywał przez chwilę w mroczną przestrzeń, poczem rzucił się na miedzę i z podniesionym kijem, dokonawszy kilku elastycznych podskoków, klęczącego człowieka pochwycił za kołnierz ubrania. Zarazem, głos młody i świeży zawołał:

— A co ty tu robisz, złodzieju, włóczęgo! Groch nasz depcesz i zjadasz i pewno jeszcze kieszenie nim sobie napychasz! Złapałem cię, psia ty duszo! Wstawajże! no! i chodź ze mną na sądy, bo jak cię walnę kijem, to zaraz jak koń pogalopujesz za mną!

Czy mógłby galopować, nawet pod bodźcem kija? — pytanie. Ale zerwał się z ziemi bardzo prędko, od głowy do stóp trzęsąc się z przestrachu. Tak nagle schwytano go, w chwili tak błogiej! Kilkakrotnie zgiął się nizkimi, prędkimi ukłony, ochrypłym głosem i bezładnie mówiąc:

— Oj, oj! niech mnie wielmożny panicz puści! ja do szynkarza w Szumnej na nocleg idę! Aj, aj! ten groch, tak sobie przy drodze... taki piękny groch... ja sobie tylko troszeczkę... Niech mi wielmożny panicz daruje i puści... czy to taka szkoda, czy co?

Niesłuchając go prawie, chłopak krzyczał:

— A! czy to wielka szkoda? A cóż? może nie szkoda? Może

przybytek nam z tego, że takie złodzieje jak ty, wszystek groch z brzegu objadają. Było (trzeba było) jeszcze kartofli naszych nakopać? Miałbyś czem bałabostę w szabas poiraktować. Przez was człowiek, jak pies, na polu nocować musi, aby swojej rodzonej własności pilnować, a tu jeszcze ojciec krzyczy, że nigdy żadnego złodzieja nie złapię. Ot i złapałem! Ot i złapałem! Chodź do ojca. Na sądy! Będzie tobie popamiętasz!

Ramionami rozmachiwał szeroko i krzyczał wciąż tak głośno, aż się po polu rozlegało. Ochrypły, cichy głos wciąż znowu odpowiadał:

— Oj! oj! niech mnie wielmożny panicz puści... ja do szynkarza w Szumnej na nocleg — Oj, sądł ten groch tak sobie przy samej drodze rośnie! a na co przy drodze rośnie? Ja tatkę wielmożnego panicza znam... żeby on taki szczęśliwy był, jak ja jemu życzę... żeby on drugi taki folwark kupił... żeby jemu na tem polu same złoto rodziło... żeby on, nu! sto takich pięknych synów jak panicz wyhodował!

W zmroku nie widać było wyrazu jego twarzy, ale co kilka słów zginał się nizkim ukłonem, a krępy chłopak, w krótkiej siermiężce, ochłonął snadź z gniewu, czy z natury już nie był srogim, bo parsknął śmiechem.

— A to błogosławi! — zawołał. — Sto synów! Piękniebym ja na tem wyszedł, gdybym miał dziewięćdziesiąt dziewięć bratów! No, duszo niechrześciańska, nic nie wskórasz, nic u mnie swemi błogosławieństwami nie wycyganisz! Marsz przedemną, a ja za tobą, jak sołdat za aresztantem. Do tatki na sądy! Ein, zwei, drei, marsz!

Naśladując ruchy żołnierskie, kij wziął do ramienia i następował na żyda, który z trudnością i stękając wkładał tłómok na plecy. Ośmielony wesołością tego, który go pojmał, z cichym śmiechem zaczął:

— Nu, pójdę, pójdę! a czemu ja niemam pójść? czy to ja paniczowego tatki nie znam? czy ja nie wiem, że on biednemu Gdalu nic złego nie zrobi. Ja pana Ignaca Korejbego znał jeszcze wtedy, kiedy on w Korejbach... w swojej okolicy żył... a ot, teraz to już pięć latów, jak on sobie ten folwark kupił... Daj Boże, żeby jemu na zdrowie było! ja jego nie boję się! on miłosierny człowiek!

Jednak w drżeniu głosu, i nawet w cichym śmiechu jego czuć było, że się bał. Zaczął iść znowu ze zgiętemi plecami i schyloną twarzą. Oddech jego stał się głośniejszym, głos bardziej zachrypł, kilka razy zakaszlał i splunął. Karciciel jego tuż za nim postępował. Wkrótce znaleźli się obaj u wejścia do wierzbowej alei.

— Na prawo, marsz! — donośnie zakomenderował syn właściciela folwarku.

Pojmany zaśmiał się ochrypłe.

— Chi, chi, chi, chi! jaki panicz wesoły! daj Boże zdrowie paniczowi!

— Będziesz ty mi winszował, jak tatko za ten groch chałat ze skóry zedrze!

— Chi, chi, chi, chi!

Znowu zakaszlał i za chwilę przystanął.

— No, idźże prędzej, bo w kark palnę!

Ściśniętą pięść podniósł nad zgiętemi plecami żyda; nie uderzył jednak, tylko przez czas jakiś uderzeniem groził.

W głębokim cieniu wierzb zaszemrało przeciągłe westchnienie.

— Och, och, och!

* * *

W folwarku Ignacego Korejby dom mieszkalny niewielki, słomą pokryty, rozdzielony był sienią na dwie połowy, z których w jednej

mieściła się czeladź wraz z ptactwem domowem, druga była mieszkaniem właściciela folwarku i jego rodziny.

Roboty dzienne przed chwilą dopiero ukończono. W izbie czeladnej przy wielkiem ognisku gotowano wieczerzę dla parobków, pastuchów i dziewcząt służebnych. Słychać było gwar grubych głosów męskich, rubaszne śmiechy kobiece, czasem wesołe poszczekiwanie psa i przeraźliwe gdakanie kur, które blask ognia i głosy ludzkie obudziły w ciemnych podpieckach. Z drugiej strony sieni izbę obszerną, mającą podłogę z desek, ściany czysto wybielone i nieco odymiony sufit, oświecał także ogień, palący się jednak nie w wielkiem piecowisku, jak w izbie czeladnej, ale w głębokim i rozłożystym kominie. Gotowało się coś przy nim w sporym garnku, jaskrawy blask ognia padał na wiszące po ścianach święte obrazki, na czerwone ławy, stoły i stołki, na zalegające kąt izby krosna tkackie i przez drzwi otwarte, zaglądając do sąsiedniego pokoju, niewyraźnie ukazywał zarysy porządnie usłanych łóżek, żelazem okutych skrzyń, worów wypchanych wełną czy mąką, wiszących na ścianie koszów, kobiałek, motków i także świętych obrazków. Izba tamta służyła za sypialnię i skarbiec, ta za jadalnię a po części i kuchnię.

Ignacy Korejba przed kwadransem dopiero wrócił z pola, gdzie wraz z parobkami napełniał wozy zżętym jęczmieniem i, z powodu gorąca surdut zdjąwszy, w płóciennej kamizelce siedział za stołem, na którym pachniał bochen razowego chleba, stały talerze fajansowe i leżały cynowe łyżki. Niski był, krępy, z szerokiemi piecyma, twarzą okrągłą jak księżyc w pełni i głową zjeżoną siwiejącymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Aż do wiśniowej barwy ogorzała skóra twarzy i karku, czoło pełne zmarszczek i ręce grube, z palcami w dziwne węzły, świadczyły, że mały lecz żyzny ten folwark nie przyszedł mu darmo, lecz został przezeń wydobyty z morza krwawego potu i mnóstwa przecierpianych utrapień. Mimo

to wszystko jednak, z całej postaci tego zaściankowego szlachcica biły niepospolita siła i kwitnące zdrowie, a twarz tryskała rubaszną wesołością i szczerem zadowoleniem z siebie i ze wszystkiego, co zdobyć potrafił.

Wcale inaczej wyglądał siedzący tuż przy stole wysoki i chudy ekonom z Szumnej, człek lat średnich, na długich nogach, z twarzą długą, z przebiegłemi oczyma i ostrym krzakiem czarnych wąsów nad chytremi usty. Miał on na sobie czarny surdut i czerwony krawat pod szyją. Wiedzieli wszyscy, że był bardzo próżnym, podobno też bardzo zręcznym człowiekiem i ze wszystkich i wszystkiego drwił. Dziś, wracając z sąsiedniej wioski, gdzie robotników zamawiał, tłustego konika do płotu przywiązał i wstąpił do Korejbów na pogadankę sąsiedzką i świeże kartofle, które właśnie gotowały się na ogniu. Z gospodarzem domu wiodąc rozmowę o żniwach, wciąż przebiegłemi oczyma zerkał na młodziutką Korejbiankę, która, jakkolwiek miała lat dopiero piętnaście, częstych już gości do ojcowskiej chaty sprowadzała; ten jednak nie był jej snadź miłym.

Niedorosła dziewczynka, w perkałowej sukience, która nie zakrywała ani bosych stóp, ani ogorzałej szyi, stała w pobliżu ognia i, profilem do konkurenta zwrócona, palcem wodziła po chropowatej powierzchni komina. Ogień złocił jej twarz, przypominającą rumiane jabłuszka, przeglądał się w siwych źrenicach i rozżarzał czerwoność wstążeczki, opasującej włosy złotawe, luźnie na piecy spuszczone.

W odblasku tego ognia, doglądając garnka i nie mieszając się do rozmowy mężczyzn, stała i matka rodziny, wysoka, koścista, z czołem tak samo, jak u jej męża, zmarszczonem i tak samo grubemi rękami, nie tak przecież jak on silna i zdrowa, owszem, może trochę chora, może zahukana, gapiowata, wciąż usta otwierająca. Długie lata przepracowała w domu i na polu, wiele dzieci zrodziła,

wypielęgnowała i pogrzebała na parafialnym cmentarzu. Troje tylko wyrosło jej zdrowo; ta oto rumiana dziewczynka, palcem po szorstkiej powierzchni komina wodząca, i dwaj jeszcze synowie.

O synach w tej chwili rozmawiał z sąsiadem Ignacy Korejba. Miał on ciężkie zgryzoty. Oto Stefek, który teraz pilnuje na polu kartofli i grochu, na świętego Piotra i Pawła dwadzieścia lat skończył. Za rok do wojska! A jak on bez tego syna na gospodarstwie zostanie? Starzeje się już, ciężko mu będzie. I na tak długo! Bo kiedy Stefan był dzieckiem, nie wiodło się im jeszcze tak dobrze, jak teraz. Więc czytać i pisać uczył się tylko w domu i żadnej Igoty (ulgi) nie ma. Na sześć lat pójdzie w sołdaty. Ani go może potem oczy nasze nie zobaczą... Wszak wojna zaskoczyć może... a tu tymczasem prawej ręki ojcu zabraknie...

Korejbina zwróciła się twarzą do ognia i rękawem koszuli po oczach sobie przesunęła. Zaś ekonom z Szumnej teścia swego *in spe* z przymileniem zapytał:

— No — a Janek? Ten już do wojska nie pójdzie, jak szkoły skończy?

Na czerwoną twarz Korejby jakby promień słońca spłynął.

— Janek — panie dobrodzieju! oho! i on pójdzie, pewnie pójdzie... tylko, że nie na sołdata, ale na adwokata.... cha, cha, cha! Zdolna błaznota, że niech Pan Bóg broni, i do książek, jak żyd do biblii! »Ja, tatku, powiada, jak szkoły skończę, do uniwersytetu pojadę!« »Jedź, synku, mówię, ucz się, królem będziesz«. A on: »Nie królem, tatku, ale adwokatem!« Niechaj będzie i tak! Niechaj choć jeden Korejba na ludzi wyjdzie. Chwała Bogu! stać mię teraz na edukacyę syna... Stefek jej nie dostał, co robić? Inne czasy były. Zato, jeżeli szczęśliwie służbę wojskową skończy, więcej ziemi dostanie... po sprawiedliwości... Ja żadnego z moich dzieci krzywdzić nie chcę i wszystkie troje równiuteńko obdzielę... ró-

wniuteńko... u mnie i dziewczyna to także rodzone dziecko, a jakżeż tyle będzie miała co i bracia... ot.

Dziwnym fizyologicznym objawem, czerwieniące się wśród czarnych włosów uszy ekonoma z Szumnej, poruszyły się bardzo widocznie w chwili, gdy Korejba rozprawiał o zamiarze równego podzielenia majątku swego pomiędzy wszystkie swe dzieci. Latające jego oczy zapłynęły masłem i miodem i zwróciły się ku stojącej u komina dziewczynce. Najzupełniej nagle i niespodziewanie, głosem tak podniesionym, że aż Korejba szeroko oczy wytrzeszczył, zawołał:

— Budzę panią, panno Jadwigo!

Był to niezmiernie zręczny sposób zawiązania rozmowy z młodziutką bogdanką. Ale zamiast, jak wypadało, odpowiedzieć wzajemnem pytaniem: »w jakim kolorze?«, bogdanka zerwała się jak strzała, przebiegła izbę i wybiec z niej miała, gdy nagle w drzwiach rozległo się głuche stuknięcie i zaraz potem dwa wybuchy dźwięcznego śmiechu! Stuknięcie pochodziło z nagłego spotkania się z sobą dwu młodych głów, a było tak silnem, że aż rozległo się po izbie. Nic to! Dziewczyna, trzymając się ręką za skroń, śmiała się tak, że aż od śmiechu zataczała się po izbie i głośno śmiał się także szesnastoletni chłopak, który w płóciennej bluzie i ze strzelbą na plecach wbiegł do izby, a jedną ręką zrywając z głowy czapeczkę, zdobną w znak szkolny, drugą rzucił na stół dwa zabite ptaki. Za nim wpadł i po izbie z radosnem skomleniem wić się zaczął pies nieduży, trochę wyżeł, więcej kundel, zabłocony tak, że trudno było rozpoznać kolor jego sierści. Z ubrania chłopca poznać można było, że wracał z myśliwskiej wycieczki, obuwie miał zabłocone, całą odzież przesiąkłą wilgocią mokrych łąk. Twarz, jak u siostry, okrągłą i drobną, tylko znacznie mizerniejszą, oblewał mu pot kroplisty i rozpromieniał wyraz tryumfu. Pierwszy-to raz w wakacyjnej porze ojciec pozwolił mu zdjąć ze ściany strzelbę i iść z nią na polowanie.

I oto teraz zabił dwa bekasy! Dla geniusza rodziny poru-

szyło się wszystko, co w izbie żyło. Korejba w grubych dłoniach macał i ściskał przyniesione ptaki.

— Dubelty, panie dobrodzieju, tłuste, jak masłem oblane, patrzcie-no, jak ta błaznota strzelać umie... cha, cha, cha!

I śmiał się na całe gardło, a ekonom z Szumnej wtórował mu basowym głosem, dopytując się Janka, na których łąkach polował, doradzając inne, oliarując psa swego, prawdziwego, »słowo honorowego człowieka«, prawdziwego wyżła-pontera.

Korejbina zdejmowała synowi strzelbę z ramion i fartuchem mu pot z twarzy ocierała. Jadwinia, niezupełnie jeszcze śmiech utuliwszy, rzuciła się do stojącego w ogniu garnką. Młodziutki myśliwy wyszedł z domu zaraz po południu i głodnym być musiał.

Wnet na stole zjawiły się talerze z kwaśnem mlekiem i ogromna misa dymiących się, zaskwarzoną słoniną oblanych, kartofli. Hej! zrobiło się tam wesoło i jasno.

Ogień na kominie wciąż buchał szerokim płomieniem, a Korejbina jeszcze i świeczkę w mosiężnym lichtarzu postawiła na stole. Na intencyę gościa z szafy wydobyte cynowe łyżki połyskiwały jak srebro i dzwoniły o fajansowe talerze, czerpiąc z nich mleko, okryte warstwą różowawej śmietany.

Korejba w ręce sąsiada pił wiśniówkę domowego wyrobu. Korejbina, z szerokim uśmiechem na kościstej twarzy, dolewała i dokładała jedzenia gościowi i dzieciom. Ekonom z Szumnej, ręką ze złotym pierścionkiem ocierając co chwila zsiadłe mleko ze sterczących wąsów, miodowe spojrzenia rzucał na Jadwisię, która klęcząc na ławie, a połową ciała leżąc na stole, jadła z jednego talerza z bratem, bosemi piętami wybijała o brzeg ławki wesołe takty i zdecydowała się nawet, z chmurną trochą lligiarnością, odpowiadać na zaczepki niemiłego konkurenta.

— Panna Jadwiga czegościś zła dzisiaj.

— Ja wcale nie zła, tylko się tak panu Tomkiewiczowi zdaje.

— A czy panna Jadwiga wie, że złość piękności szkodzi...

— To niech się pan Tomkiewicz nigdy nie gniewa, boby zeszpetniał...

— Czy to ja mam sobie w ten sposób zrozumieć, że w oczach pani jestem teraz pięknym!...

Wszyscy obecni zajadając śmieli się i tylko Janek, na koncepty siostry i Tomkiewicza wcale nie zważając, ani na chwilę nie przestawał opowiadać o swem dzisiejszem polowaniu. Dźwięczny, cienki, wpółdziecinny jeszcze głos jego nieustannie górował nad wszystkimi innymi głosami. Jadł, giestykulował i gadał. Najwięcej mowę swą zwracał do ojca, którego policzki wydęte były od pożeranych kartofli, a oczy błyszczały od gorąca i zadowolenia.

— Patrzę ja, tatku!... Trezor stoi... warují — krzyczę. — Stoi jak mur! Fuzyę do oka... idę... Pójdź dalej! — mówię. — Trezor idzie dalej! pójdź dalej! dubelt foor! pif, paf, upadł...

Trezor, słysząc swe imię, biegał dokoła stołu, radośnie skomląc; dano mu talerz kwaśnego mleka.

— Cha, cha, cha, cha! — na całą izbę śmiał się Korejba — jak ta błaznota do wszystkiego staje! i do książki, i do luzyjki... Tylko mi się nie postrzel, smarkaczu...

W tej chwili otworzyły się drzwi od sieni i, ręką czyjąś popchnięty, do izby wpadł człowiek w długiej, podartej odzieży, w obuwiu białem od pyłu, z tłomokiem na plecach, z kijem i czapką w ręku. Popchnięto go tak silnie, czy też sam był tak słabym, że od progu zatoczył się jak pijany i stanął dopiero wtedy, gdy dłonią oparł się o ścianę; stanął pomiędzy drzwiami a kominem, w cieniu nieco i, zgarbiony pod swym ciężarem, głowę na złote światło ognia wysunął.

Ta postać chuda, łachmanami okryta, chyląca się w niskim ukłonie, z ciężarem na plecach, kijem w ręku, włosami rozrzuconymi i twarzą sterczącą szczękowemi kośćmi a obleczoną skórą,

podobną do żółtawego opłatka, — w tej wesoło oświetlonej izbie, wśród tych zdrowych, ogorzałych twarzy, ciał bogatych w kości i tłuszcz, śmiechów rubasznych i skromnych dostatków, ukazała się, jakby nagle z ziemi wyrastający duch cierpienia.

— W imię Ojca i Syna... — niosąc rękę do czoła, zaczęła Korejbina.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — z drwiącym śmiechem krzyknął Tomkiewicz.

— Jezus, Marya! — jęknęła Jadwisia i oczy schowała za plecy brata, który łyżkę na talerz opuścił i swawolą rozogniony wzrok wlepił w oczy przybyłego, zapadłe, błyszczące, olśnione i przerażone.

Ku stołowi szerokim krokiem zbliżył się krępy, silny chłopak, w krótkiej siermiężce i wysokich butach. Był to żyjący portret ojca. Tak niegdyś pewno wyglądał stary Korejba. Błękitne oczy młodzieńca błyszczały, czoło białością swą odcinało się od ogorzałych policzków; włosy miał jasno-złote jak u siostry, a ręce zgrubiałe od pracy na roli, jak u obojga rodziców. Niedbale skinął głową ekonomowi z Szumnej i stanął przed ojcem.

— Złodzieja, tatku, przyprowadziłem... groch nasz żarł, aż mu za uszami trzeszczało, a może też i w kieszenie nabrał. Niech tam tatko robi sobie sąd nad nim! ja swoje zrobiłem.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy mu matka wepchnęła w ręce talerz, pełen kartofli i skwarek, a Ignacy Korejba, podniósłszy się nieco z ławy, pięścią w stół stuknął tak silnie, że aż podskoczyły na nim talerze i łyżki. Na nizkiem i nawskróś zbrużdżonem czole starego rolnika żyły nabrzmiały jak błękitne sznurki, oczy mu zapłonęły, policzki zaszły purpurą. W tem mgnieniu oka dostrzedz można było, że gdy się rozgniewał, mógł być strasznym.

— A psie przeklęty! będziesz ty mnie moją krwawicę marnował!

Krzyk ten podobnym był do ryku lwa, tak jak sarkanie Stefana przypominało mruczenie młodego niedźwiadka. Choć wzbogaceni, ojciec i syn nie przestali własnemi rękami orać, siać, kosić; bronili więc swej krwawicy, jak wilki ciężko zdobytego łupu. Nagle przecież stary Korejba przestał krzyczeć i jak ludzie z osłabionym wzrokiem, dłonią sobie oczy przysłaniając wpatrzył się w pojmanego.

— Co to? — zapytał — Gedali, czy co? Czy ty Gedali z Wołpy? No, gadajżel czyś oniemiał?

Zapytywany kilka razy poruszył ustami i po kilku sekundach zaledwie, znowu kłaniając się nizko, wybełkotał:

— Gedali! wielmożny panie! Ja... Gedali z Wołpy... ten sam, do którego wielmożny pan kiedyś po sól i żelaztwo zajeżdżał... ten sam, który tę brykę miał i parę tych pięknych k o n i ó w... co to pan wie... oj!...

Ochłonął nieco z przestrachu i głową żałośnie wstrząsał. Korejba dobrze go snadź sobie przypominał, bo sapiąc opuścił się znowu na ławę i z gniewem jeszcze, ale znacznie już mniejszym, sarknął:

— Śliczneś się wykierował, na złodzieja, co po cudzych polach chodzi i kradnie...

Żyd chudą ręką uderzył się w piersi.

— Wielmożny panie! ja nie kradł, żeby mnie nieszczęście spotkało, jeżeli ja kradł! żeby ja jutrzejszego dnia nie doczekał...

— A cóżeś robił? — W jednem ręku trzymając talerz, a drugą w pięść ścisnąwszy, przyskoczył do niego Stefan; — a cóżeś to robił, niedowiarku, kiedym cię tam przy grochu schwytał? he?

— Nu! przepraszam!... niech wielmożny panicz nie gniewa się, ja tego grochu nie kradł...

— Cóżeś robił? — ze wzmagającym się znowu gniewem krzyknął Korejba.

Tomkiewicz, który na żyda spoglądał z przygnębiającą wzgardą, zażartował:

— On pewno patrzył, czy w tym grochu rubie czasem nie rosną...

Żyd cicho wymówił:

— Ja jego jadł... to prawda....

Korejba wybuchnął znowu:

— A cóż to ty sobie myślisz, że ja groch sieję dlatego, aby każdy włóczęga objadał się nim podostatkiem. Poczekaj... nie daruję... musisz zapłacić, albo cię do mirowego (sędziego pokoju) zaciągnę...

Żyd znowu pokłonił się nizko.

— Oj, — jęknął — niech wielmożnemu panu sto lat życia i zdrowia będzie, kiedy wielmożny pan Gedalu daruje... ja do Szumnej na nocleg szedł i ten groch spotkał... On przy drodze rośniel a czemu on przy samej drodze rośniel Aj! wiele ja tam zjadł! troszeczkę...

Tomkowicz, który widocznie dowcipem swym olśnić chciał ulubioną, figlarnie na Jadwinię zerknął i z grubym śmiechem zawołał:

— To wam, żydzie, słowo honorowego człowieka, wasza religia wiele kraść nie pozwala, ale troszeczkę pozwala, co?

Żyd dziwnie jakoś oczyma ku mówiącemu błysnął i ze szczelnie zaciśniętemi usty milczał chwilę. Potem, w ziemię patrząc, odrzekł:

— Na co tu religia? Ona nikomu kraść nie pozwala.

I jeszcze ciszej kończył:

— Ja był głodny...

— Kiedyś był głodny, trzeba było prosić, ale nie bez pozwolenia brać... — zaczął Korejba; lecz Tomkiewicz, akcent żydowski naśladując, mowę mu przerwał:

— A jeżeli ten groch był trefny, to co teraz będzie?

Żółte wargi Gedalego poruszyły się niespokojnie; Tomkiewicz

dotknął snadź drażliwej strony jego sumienia. W ziemię patrząc i zwiędłe czoło pod opadającą gęstwiną siwiejących włosów marszcząc, dumał. Nagle wyprostował się o tyle, o ile tylko pozwalał na to tłoczący mu plecy tłómok, giestem rozpaczliwego postanowienia szeroko rozłożył ręce, twarz ku sufitowi zwrócił i po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, głos nieco podnosząc, zawołał:

— Aj, aj! żeby sam rabin koło tego grochu chodził, toby go trochę zjadł: taki groch!

W wykrzyku tym było tyle zapału, którym głodny żołądek przejął się dla pięknego grochu, że nikt z obecnych nie zaśmiał się, ale owszem stary Korejba i obaj jego synowie trochę pochmurnieli. Jeden Tomkiewicz miał widoczną ochotę strzelić znowu dowcipem, ale powstrzymał się, bo zauważył, że ulubiona jego zsunęła się z ławki i u komina stanąwszy, dużemi swojemi, siwemi oczyma ciekawie i poważnie na żyda patrzyła.

— Patrzcie-no, — po chwili ozwał się gospodarz domu, — toś ty tak zbiedniał, Gdalku! Jużem cię chyba z dziesięć lat nie widział, ale gdym często jeszcze bywał w Wołpie, pamiętam, że miałeś się wcale dobrze...

— Zbiedniałem panie, zbiedniałem...

Tomkiewicz wytrzymać już nie mógł.

— A żeby tak ślepy gołego okradł — huknął — jak to prawda jest, że on biedny! Który z nich biedny? Oni wszyscy, to pijawki, krwią ludzką napojone... słowo honorowego człowieka.

Gedali powolnym ruchem twarz zwrócił ku mówiącemu i patrząc nań, nie rozgniewanym, ale zamyślonym i nieruchomym wzrokiem, kij z ręki wypuścił i obie ręce ku piersi podniósłszy, rozwarł okrywające ją strzępy chałatu. Pod strzępami temi ukazała się koszula tak podarta, że ciemne, chude ciało zaświeciło przez wielkie jej dziury. Jednocześnie piersią tą wstrząsnął kaszel krótki i ochrypły, z za podartych rękawów chałata widać było nagie ramiona.

— Niechlujstwo! — mruknął Tomkiewicz i głośno na środek izby splunął.

Stojąca przy kominie Korejbina odwróciła twarz, szepcząc: »Matko Boska!« Korejba grubymi palcami zabębnił po stole, a Janek najniespodziewaniej w świecie swym cienkim, chłopięcym głosem zawołał:

— Dlaczego pan swojej torby z pleców nie zdejmie? Niech pan będzie łaskaw zdjąć z siebie tę torbę!

Tomkiewicz parsknął śmiechem.

— Pan! no, pan! Cha, cha, cha, cha! Słowo honorowego człowieka, jeszcze, jak żyję, nie słyszałem, żeby takich łapserdaków panami tytułować. Widać, że pan Jan wielkiej już grzeczności wyuczył się w mieście.

Chłopak zaczerwienił się jak wiśnia i z dumą szesnastoletniego gimnazisty głowę podnosząc, odparł:

— Może być, że pan Tomkiewicz o wielu rzeczach jeszcze nie słyszał, ale my to już dawno wiemy, że człowiek cywilizowany dla każdego grzecznym być powinien.

— Cicho, Janek, cicho! — ulubieńca swego oburknął Korejba, lecz wnet łaskawie dodał:

— No, zdejm już, G d a l u, ten wór z pleców i wyprostuj się, kiedy panicz tak chce.

Gedali, widocznie ucieszony, począł przez ramiona i głowę zdejmować grube sznury tłómoka. Nie mógł jednak tego uczynić odrazu: ręce mu drżały i zakaszlał się silnie.

— Jadwisiu! pomóżże mu! — zakomenderował Janek.

Dziewczynka, która stała najbliżej żyda, podskoczyła w mgnieniu oka i niemałemi wcale rękoma przerzuciła mu w tył głowy splot grubego sznura! Tomkiewicz oburzył się.

— Jezus, Marya! — krzyknął — jeszcze czego, żeby panna

Jadwiga około żydowskich łapserdaków rączki swoje brudziła! Co nadto, tego już, słowo honorowego człowieka, i świnie nie jedzą!

— Ale Jadwisia, komendzie brata gimnazyasty posłuszna, dla innych zuchwały języczek w rumianej buzi miała.

— Niech pan Tomkiewicz o moje ręce nie dba! Jak je zabrudzę, to i umyję, a wody u pana nie poproszę.

— Cóż to macie w tej torbie? czy po jałmużnie chodzicie? — szeroko usta otwierając, głosem przewlekłym zapytała matka rodziny.

Gedali przecząco wstrząsnął głową.

— Ja nie żebrak...

— A cóż tam jest w tej torbie?

— Ja k r a m a r z... po dworach i okolicach szlacheckich, nu i po wsiach chłopskich chodzę i towar sprzedaję.

— Jednakowoż — z zamyśleniem zaczął Korejba — jak ty mogłeś tak zbiednieć Gdalku? Toż ja pamiętam, że żonka twoja trzymała w Wołpie k r a m ę z solą, żelaztwem i różnymi drobiazgami, a ty domek własny tam miałeś i furmaniłeś. Pamiętam, ho! pamiętam ja te czasy, kiedym jeszcze w łapciach, panie dobrodzieju, do Wołpy przyjeżdżał i do was zachodził. U żonki twojej kupowałem, co mi było potrzeba; roztropna była i przystojna żydowica, ta twoja Merka — a twoją bryką raz do s t r z e c z n e g o (stryjecznego) brata aż za Słonim jeździłem. Cóż to takiego stało się z tobą?

Gedali stał teraz prosto, o gzems komina oparty, zupełnie prawie już pewny, że mu się tu nic złego nie stanie. Na pytanie Korejby odpowiedział:

— Co? Ot co... Pan Bóg dopuścił. Mój dom w Wołpie spalił się.

— Szkoda! szkoda! — z widocznem współczuciem rzekł Korejba.

— I dobrze! — krzyknął Tomkiewicz. — Zjadał wilk, zjedli wilka! Albo to oni mało budynków ludzkich podpalili! W Krzewnie tej wiosny p o d w a ł w ó d c z a n y podpalili, a w Pawłówce karczmę.

Cicho i zlekka ramionami wzruszając, Gedali odpowiedział:

— Ja nie podpalał.

— Ale-bo nie mogłeś, a żebyś tylko mógł, tobyś podpalił.

— Nie podpaliłby, — zaprzeczył Korejba — ja jego dawniej dobrze znałem. Człek był spokojny. A Merka twoja jak ma się? Czy i ona już w Wołpie k r a m y nie ma?

— Umarła.

— Patrzajcie! umarła! — Szeroko znowu usta otworzyła Korejbina; — a a a! jeszcze i nie stara była kobieta! a z czegoż-to ona umarła?

Żyd patrzył w ziemię.

— Pan Bóg dopuścił... nie tu wspominając, ze złej choroby...

— Znaczy, z cholery, — rzekł Korejba, a ekonom, szybko poruszając krzaczastymi wąsami, żywym ruchem zwrócił się do żyda.

— No, żydzie! — zawołał — jak jutro przez Szumną przechodzić będziesz, słowo honorowego człowieka, dam ci garniec świeżego grochu, tylko mi zaraz powiedz, jak nazywa się ta choroba, na którą twoja żona umarła! cha, cha, cha, cha!

Gedali niespokojnie poruszył wargami.

— Nu, nie tu wspominając, to zła choroba...

— Ale ty mnie gadaj, jak ona nazywa się?

— Jak ona nazywa się? A na co to mówić, jak ona nazywa się!

— Za nic bestya nie powie! Żeby go poćwiertować, nie powie— wybuchnął śmiechem Tomkiewicz.

— Taki już u nich głupi zabobon — przywtórzył Stefan.

Janek, czerwieniąc się znowu, sentencyonalnie i dobitnie wyrzekł:

— Jest to nieludzkość, bez żadnej potrzeby zmuszać kogoś do tego, co mu przykrość sprawia.

Widocznie zaczynał brać do serca sprawę żyda; przytem obchodziły go losy koni, które żyd ten niegdyś posiadał.

— A konie? — zapytał.

— Jeden zdechł a drugi oślepł i ja jego sprzedał za piętnaście r u b l ó w.

— Ale ty cościś dużo dzieci miałeś, — zaczął Korejba; — pamiętam, że kiedym u was bywał, z pięcioro tego uwijało się około twojej Mery.

— Siedmioro... — poprawił Gedali.

— A Jezus! — jęknęła Korejbina — siedmioro wykarmić i wyhodować, czy to żarty?

Na grubej dłoni kościsty policzek wspierając, żałośnie kołysała głowę. Ona dobrze wiedziała, co znaczy karmić i chować dzieci w lepszym nawet bycie, a cóż dopiero w takim mizernym! W głosie jej brzmiało jakby poszanowanie dla rodzicielskich boleści i trudów, gdy, łagodnie patrząc na żyda, zapytała:

— A w jakim wieku?

Powoli, to z gorzkimi nieco, to znowu z radosnymi niemal uśmiechy opowiedział, że jedno tylko z dzieci jego było zupełnie dorosłe: córka, która po śmierci matki doglądała i chowała wszystkie inne; że z tych innych syn jeden uczył się szewctwa, drugi uczęszczał do Talmud-tory, takiej sobie żydowskiej szkoły dla ubogich chłopców, trzeci niczego nie uczył się, bo mu Pan Bóg do niczego rozumu nie dał, czwarty zaś, Chaimek, był bardzo rozumny, ale jeszcze zupełnie mały. Co do dwóch młodszych córek, te, choć w służbę iść chciały, nie mogły, — bo nic nie umieją i żadnej siły w sobie nie mają.

— Siedzą sobie tedy w izbie i pończochy na sprzedaż robią. Jedna z nich, Malka, piętnaście lat ma i bardzo ładna, ale taka blada jak papier i nigdy nic nie mówi? Dlaczego ona nie mówi? Albo on wie! Ze smutku może, czy z biedy, bo ot, jejby trzeba jeść więcej i troszkę wesołości nabrać, a tu zkąd? W jednej izbie w s z y s t k i e o s i e m żyją i trzy ruble na tydzień mają, te trzy ru-

bie, które on ze swego handlu zarabia. Całego majątku zostało mu osiemdziesiąt rubli; on za to nakupił towaru, co tydzień na szabas wraca do dzieci i przynosi im trzy ruble. Nu, jak Pan Bóg da, czasem cztery albo pięć, ale rzadko, — najczęściej trzy, i wtedy bieda; ażeby dobrze sobie przeżyć, trzebaby im mieć osiem rubli na tydzień. Och! och! żeby on miał osiem rubli na tydzień, jakie-by to było szczęście dla niego i dla jego dzieci...

Mówiłby pewno dłużej, ale kaszlać zaczął. Na palcach przeszedł część izby i do kąta splunąwszy, na poprzednie miejsce powrócił. Obecni milczeli chwilę. Zdawało się, że duch litości przez izbę tę przeleciał i miękkiem skrzydłem musnął wszystkie te grube twarze...

Korejba bębnił palcami po stole i myślał... o czem? Może o czasach ubogiej swej młodości, gdy w łapciach jeszcze zachodził do domu Gdala i wesoło gawędził z żoną jego Merą. Korejbina, z policzkiem na dłoni wspartym, myślała także może o jednej ze zmarłych swych córek, która na rok przed śmiercią, tak jak teraz córka Gdala, stała się białą jak papier i milczącą, jak zdławione ptaszę. Stefan siedział u okna, brodę oparł na ręku i marszcząc białe czoło, dumał; miał i on swoję zgryzotę: za rok precz z tej chaty, do wojska! Więc, słuchając o biedach cudzych, zasmucił się także. Jadwisia, która jeszcze żadnych smutków nie zaznała, przysiadła na ziemi i, odrzuciwszy na plecy złotą grzywę włosów, z podniesioną twarzą wlepiała w żyda siwe swe źrenice, zdziwione. Jeden Tomkiewicz, widocznie kwaśny, strzelił znowu konceptem:

— A lichoż-bo ci kazało, żydzie, tyle dzieci napłodzić?

Gedali odpowiedział:

— Wiadomo... u najbiedniejszych zawsze dzieciów najwięcej.

Tu zadzwonił znowu chłopięcy i pełen pewności siebie głos Janka:

— Niech pan siada, panie Gdału, proszę pana siadać.

Gedali ukłonił się, a Korejba z zamyśleniem zaczął:

— Jednakowoż, jakie to na świecie bywają wypadki. Ot, on, człowiek spokojny i uczciwie pracujący, przepadł, a ten szelma Mendel z Szumnej, kręciciel taki, że niech Pan Bóg broni, wzbogaca się aż strach! Słyszę, już Szumnę w dzierżawę bierze.

Tu oczy jego przybrały wyraz trochę złośliwy i z ukosa na ekonoma zerknęły. Chodziły po świecie pogłoski, że Tomkiewicz z bogatym Mendlem okrutnie na niekorzyść dziedzica Szumnej szachrował. Zmieszał się też trochę ekonom, Korejba zaś powtórzył:

— Ha? czemu to tak? ten nic złego nie zrobił i w biedzie — a tamten, gałgan, bogaczem sobie jest... Ot, jak na świecie, lepszemu gorzej, gorszemu lepiej.

Gedali kilka kroków naprzód postąpił i nieśmiało zaczął:

— Przepraszam wielmożne państwo, u nas o tem jest przypowiastka.

Jadwisia uczyniła żywe poruszenie; nadzwyczajnie lubiła bajki i przypowiastki. Żyd wyprostował się i mówić zaczął:

— U nas tak napisane stoi. Kiedy Pan Bóg chciał temu światu biblię dać, to powiedział, żeby wszystkie góry do Niego przyszły. Góry, ma się rozumieć, posłuchały Pana Boga, ale te, co były wielkie, stanęły na przodzie bardzo pyszne z tego, że były wielkie, i czekały, której z nich Pan Bóg biblię da. Pan Bóg popatrzał, popatrzał i zawołał do siebie najmniejszą górę, taką małą, że ona za wielkiemi schowała się i myślała, że jej Pan Bóg i nie zobaczy. Ale Pan Bóg zawołał ją i powiedział: »Ja biblię tobie daję, bo ty, choć mała, ale więcej jesteś warta w moich oczach od tamtych wielkich. A dlaczego ty więcej warta? Dlatego, że one pysznią się, a ty nie pysznisz się, i dlatego, że z nich wiele kamieni na ludzi spadało, a z ciebie żaden kamień na nikogo nie spadł«. I dał Pan Bóg biblię najmniejszej górze, a jeden nasz wielki rabin —

on nazywał się Ben-Jehuda – gadał, że ta przypowiastka pokazuje, jak maleńki człowiek może być więcej wart od wielkiego, jeżeli on nie pyszny i nikomu nie zaszkodził, a tamten pyszny i dużo złego ludziom narobił.

Dłonią o stół uderzając, stary Korejba z błyskiem oczu zawołał:

— To prawda! Ot, naprzykład, wiesz co, panie Tomkiewicz, kiedy mnie pan Palicki procesem dusił, aby mi niesprawiedliwie moją fortunkę odebrać, gryzłem się, panie, tak, że o mało nie chorowałem ze zgryzoty, a wszakże często myślałem sobie: choć on wielki pan, a ja chudy szlachcic łapciasty, lepszym od niego, bo on krzywdziciel i pyszny Herod, a ja nikomu wody nie zamąciłem, własną krwawicą swoją doszedłem wszystko, co mam, a czasem to jeszcze, panie, komu i dopomogłem...

— Przepraszam wielmożnego pana, — odezwał się Gedali — to, co pan teraz powiedział, to są takie winogrony, co na kolącym krzaku rosną... ja nie wiem, jak ten krzak nazywa się, co to tak kole?

Pytającym wzrokiem wodził po wszystkich twarzach.

— Może głóg — podpowiedziała Jadwisia.

— Aha! panienka dobrze wie... głogi głogi U nas i o tem jest przypowiastka ładna.

Dziewczynka klasnęła w dłonie. Gedali przygasłym swym wzrokiem popatrzał na nią i, uśmiechając się, zaczął:

— Aj! jaka panienka wesoła! jak to dobrze patrzeć, kiedy kto taki wesoły! Och! żeby to moja Małka była kiedy taka wesoła! Ona te same lata ma, co panienka i tego samego rostu (wzrostu), tylko biała jak papier i nigdy nic nie gada. Jeżeli panienka chce, to ja i tę przypowiastkę opowiem... U nas tak napisane atoi: Kiedy żydzi byli w niewoli babilońskiej, żył jeden bardzo uczony i pobożny człowiek, który nazywał się Uriel. I on był bardzo dobry, a dalego, że on był taki dobry, to on żadnym sposobem tej niewoli przenosić nie mógł. Kiedy on widział, że żydów bardzo krzywdzili, on tak płakał, że jemu z wielkiemi boleściami całe serce wylewało się przez oczy. I on szedł do tych, co niesprawiedliwie cierpieli i dawał im wszystko, co miał. Jednemu dawał troszkę swego rozumu, a drugiemu troszkę pieniędzów, a trzeciego po twarzy gładził, jak matka swoje dziecko, kiedy ono chore. Ale to jemu nic nie pomagało i taki smutek jego przycisnął, że zaczął on do Pana Boga krzyczeć, żeby Pan Bóg jemu śmierć prędzej dał. Nu, Pan Bóg nie dał jemu śmierci, tylko spuścił na niego sen. Jemu przyśniło się, że on tak samo był w babilońskiej niewoli z całym narodem i że jeden z narodu przyszedł do niego i mówił: Rebe Urielu, poradź ty mnie, jak ja mam sobie w tym interesie dobrze zrobić; a on chciał radzić i nie mógł, bo język w gębie kołem mu stanął.

A drugi człowiek przyszedł i mówi: Rebe Urielu, naucz ty mego syna w święlych książkach czytać — a on chciał uczyć i nie mógł, bo sam czytać zapomniał. A trzeci człowiek przyszedł i mówił: Rebe Urielu, daj mnie co jeść — a on chciał dawać i nie mógł, bo cały jego majątek gdzieś przepadł. Aż Rebe Uriel krzyknął okropnie i obudził się i poczuł, że w głowie ma ten sam rozum, co pierwej, a cały majątek jego naokoło niego jest. Wtenczas on padł na twarz przed Panem Bogiem i modlił się: »Nie dawaj mnie jeszcze, Panie Boże, śmierci, bo choć ja bardzo nieszczęśliwy, ale ja szczęśliwy, bo mogę radościów robić tym, co smutne«!... A jeden nasz wielki rabbin — on nazywał się Ben-Akiba — gadał, co ta przypowiastka pokazuje, że jeżeli kto nieszczęśliwy i bardzo gryzie się, to niech ot tylko dobrze naokoło siebie obejrzy się: a pewno zobaczy, że na tym głogowym krzaku, w którym on siedzi, słodkie winogrona rosną.

— Patrzciel — rzekł Korejba — jaki ty mądry Gdalu, tyle

historyi na pamięć umieszł i niczego sobie te twoje historye, dalibóg niczego, choć żydowskie. Siadaj-no, siadaj, teraz pogadamy sobie o tym grochu!

Ucieszony okazaną mu łaską, lecz znowu przerażony wzmianką o grochu, Gedali uśmiechał się, oczyma niespokojnie błyskał i kłaniając się, bełkotał, że nic nie szkodzi... on sobie... postoi... Ale Jadwisia zerwała się z ziemi, schwyciła stołek i, stawiając go obok żyda, ze ślicznym uśmiechem rumianych ust, rzekła:

— Proszę siadać! pewno już nogi od stania zabolały! Co tam, ot, proszę siadać!

To »co tam« odnosiło się do ruchu, jaki uczynił żyd, aby pocałować tę czerwoną rączkę, która mu siedzenie podawała.

— A siadajże do licha! — rozkazująco krzyknął Korejba.

Żyd drgnął z przestrachu i w mgnieniu oka usiadł. Znalazł się teraz blizko ognia, i wyraźnie widać było, że nogi i ręce mu drżały, pierś podnosiła się szybkim oddechem, a oczy tak zapadły, że pośród delikatnej i żółtawej skóry czoła i policzków, wyglądały jak dwie czarne, gorejące iskry.

— Ależ kiepsko wyglądasz! Lepszych od ciebie do trumny kładą — zaczął Korejba. — Chory jesteś, czy co?

— Chory, wielmożny panie, chory!

Opowiedział, że już od owego spalenia się domu i śmierci żony, zaczął kaszlać i tracić siły, ale od dwóch lat coraz mu gorzej. Coś go strasznie w piersiach gniecie i już taki słaby, aż strach! Żeby on nie był chory, mógłby chodzić prędzej i zarabiać więcej, możeby nawet jaki korzystniejszy interes sobie obmyślił. Ale to taka choroba, co bardzo siły odbiera...

Pod krzaczastemi brwiami, małe i bystre oczy Korejby zwilgotniały. Dobrze, dobrze teraz przypominał sobie świetne czasy Gdalka, kramę jego żony, podróż, którą w budzie jego do Słonima odbywał — i pożałował go bardzo. Syn ubóstwa i własnego ciężkiego dorobku, znał zblizka wszystkie biedy i w twardem swem ciele duszę miał miękką.

— Suchoty, czy co? — półgłosem przemówił — czemu ty do licha nie leczysz się, żydzie?

— Ja był u doktora.

— I cóż ci doktór powiedział?

— A co? on powiedział, żebym ja codzień mięso jadł, dużo mleka pił, mało chodził i co tydzień bańki stawiał.

Uśmiech przewinął mu się po ustach i wzniósł się aż na czoło, które zmarszczył aż po siwiejące włosy.

— Mięsa jeść i mleka pić ja nie mogę, bo to bardzo drogo kosztuje... Chodzić dużo ja muszę, bo z tego cały mój zarobek... to ja w jednem doktora posłuchałem... bańki co tydzień stawię... one tylko złotówkę kosztują... nu... złotówkę na tydzień, to ja mogę na swoją kuracyę wydać...

— Jezu! — zadziwiła się Korejbina — ale jakże wy możecie tak dużo chodzić przy takiej chorobie...

Przestał uśmiechać się i odpowiedział:

— Chodzę!

W tej chwili Jadwisia, która na kilka sekund wybiegła była do sieni, wróciła i z białym, sporym garnkiem w ręku zbliżyła się do żyda.

— Może mleka! — rzekła, podając mu garnek.

Gedalemu oczy błysnęły chciwością. Popatrzył chwilę na garnek, napełniony niedawno udojonem, jeszcze ciepłem mlekiem, i przecząco wstrząsając głową, rzekł:

— Dziękuję panience. Mnie tego nie można.

— Co? trefne? — ze śmiechem zawołał Tomkiewicz.

— Mnie tego nie można...

— To może choć chleba z masłem? — ozwał się Janek.

Gedali nic już nie rzekł, tylko przecząco znowu głową poruszył.

— Ot, zjedlibyście choć parę kartofli z solą, a to ze wszystkiem zesłabniecie — spoglądając w garnek, gdzie było jeszcze trochę kartofli, zaprosiła Korejbina.

Widocznie zakłopotany i twarz nieco od obecnych odwracając, Gedali odpowiedział:

— Dziękuję wielmożnemu państwu za wszystko... już ja sobie jutro u szynkarza w Szumnej podjem.

— No, żyjże-to z tymi ludźmi! — grubym basem krzyknął ekonom — kiedy oni z chrześciańskiej ręki kawałka chleba nawet nie wezmą, jakby wszystko, co nasze, zarażone im było! A! słowo honorowego człowieka! psiawiary oni, niech ich dyabli porwą z ich trefami i głodnymi bachorami razem!

— To prawda! — potwierdził Korejba. — Ten, naprzykład: jeść nie ma czego, leczyć się nie ma za co, a jeżeli dobry człowiek chce go trochę pożywić, to mu tam jakieś zabobony skorzystać z tego, panie, nie pozwalają. Przez to człowiek do nich, żeby i jak lilował się, serce straci...

Gedali słuchał uważnie, głowę schylił pokornie i ciężko westchnął. Gdy po chwili twarz podniósł, była ona okryta wyrazem głębokiej rozwagi. Roztropność i nawet przenikliwość odmalowały się w nieśmiałem dotąd spojrzeniu. Zwykłym sobie, trochę ochrypłym i przyciszonym głosem zaczął:

— To jest prawda, co wielmożni panowie sobie mówią. Jest na świecie tyle nieszczęścia, wiele piasku w wielkiem more (morzu). Jedno nieszczęście idzie od biedy, drugie od choroby, trzecie od kłótni, a czwarte od tego, że człowiek rozumu nie ma. Ale tak zawsze na świecie nie będzie. Przyjdzie taki czas, że wszystko będzie dobrze. A od kogo ten czas przyjdzie? U nas i o tem piękna przypowiastka jest.

Wyprostował się, dłonie na kolanach złożył i twarz p nieco. Widocznie spływało na niego błogie natchnienie. przypowieść, którą miał opowiadać, była mu ze wszystkich bieńszą; może ciepło ognia i łaskawość ludzka rozgrzały m i duszę.

— U nas tak napisane stoi. W starem mieście Jeszur wysokiem krześle, siedział w wielkiej szkole wielki rabbin M Ben-Majmon, a naokoło niego siedziało sto, może tysiąc, a dziesięć tysięców jego uczniów. On do nich gadał po a i po grecku i różnie; bo to był taki rabin, który do żadne rodu nienawiściów nie miał i gdzie tylko rozum znala nial się jemu tak samo, jak gdyby to był żydowski rozum. on gadać przestał, podniósł się ze stołka najlepszy jego uczeń nazywał się Ben-Jehuda, i powiedział: »Rabbi, ja w biblii rzeczy nie rozumiem! Może ty mnie co takiego powiesz, że zrozumiem«. »A czego ty nie rozumiesz«?—zapytał się Ben-M — Ben-Jehuda odpowiedział: »Ja tego nie rozumiem, kto te co śnili się naszemu przedku (przodkowi) Jakóbu, że p binie do nieba chodzili i znów na ziemię powracali?« Ben M pomyślał i zaczął tak gadać: »Te anioły, to wielkie lud robią się bardzo doskonałe i mądre, znaczy, coraz wyżej idą v im trudno w górę iść, ale oni idą, bo siły już takie mają wielkie chęci, żeby tam dojść, zkąd im będzie można dużo ści nabrać. Niech oni się nazywają proroki, albo u c albo miłosierdnego serca, albo wielkiego głosu, ale oni w — to te anioły, co po drabinie chodzą do nieba«. Tak gada Majmon; ale Ben-Jehuda jeszcze kontent nie był i pytał się: czego rabbi, oni to w górę idą, to w dół? Kiedy oni tak być w górze, czemu oni tam nie zostają, ale znowu nazad mię zstępują?« Ben-Majmon białymi włosami jak lew potr i odpowiedział: »Żeby oni zostawali się w górze i na zier

nie powracali, toby oni nie byli anioły! Ale oni w górze nabierają dużo słodkości i światłości i powracają na dół, żeby te skarby po ziemi siać. A gdzie oni ziemię usieją, tam ona lepsze zboże rodzi, kłótnie z niej nie wyrastają, ale spokojność wyrasta i ludzie mniej płaczą, a więcej cieszą się. Ot, poco oni na ziemię powracają, choć im powracać trudno, i dlatego, Ben-Jehudo, oni są anioły«. Ben-Majmon przestał gadać, a Ben-Jehuda i wszyscy, co tam byli, cieszyli się, dziękowali jemu za to, że im taką piękną obietnicę dał. Ben-Majmon zapytał: »Jaką ja wam dał obietnicę?« A Ben-Jehuda odpowiedział: »Te aniały, Rabbi, kiedyś tak zrobią, że na świecie nie będzie ani głodu, ani kłótni, ani takich, co głupi, ani takich, co płaczą i w sercu swojem krzyczą, że im bardzo źle!«

Snadź nietylko Ben-Jehuda z Jeszurum, ale i późny potomek jego, Gedali z Wołpy, cieszył się bardzo obietnicą, zawartą w słowach Rabbi-Majmona. Uderzające zaszły w nim zmiany. Stopy w wykrzywionych i opylonych butach silnie o podłogę wsparł, w zamian ramiona, z których opadały podarte rękawy, podnosił nieco w górę. I twarz ku sufitowi podniósł tak, że broda, śpiczasta i prawie zupełnie siwa, sterczała nad jego szyją obnażoną i cienką jak srebrzyste skrzydło. Ruchomy blask ognia spadał mu na czoło, odkrywając na niem niezliczone bruzdy i zmarszczki, lecz z oczu rozgorzałych i zachwyconego uśmiechu tryskała słodycz mistycznej ekstazy...

Nagle tę obnażoną i cienką szyję objęło ramię sprężyste i młode, rumiane usta, schylając się nad tem zbróżdżonem czołem, wycisnęły na niem głośny pocałunek. Był to Janek, który, od stołu powstawszy i powoli zbliżając się ku kominowi, z błyszczącemi oczyma i niezmierną uwagą słuchał przypowieści żyda, a teraz, stanąwszy przed nim, ruchem może bezwiednym, dziecinnym jeszcze, objął mu szyję i pocałował go w czoło. Wnet potem odszedł i, plecami o róg komina wsparty, stał tam z pochyloną głową, zarumieniony, zmieszany.

Coś w chłopcu tym zawrzało. Czy wielka litość nad tym nędznym człekiem, który z takim zapałem o zbawcach świata roił? Czy uwielbienie dla ludzi-aniołów? Czy paląca nadzieja, że on sam kiedyś takim aniołem zostanie?...

Przez drzwi od sieni ukazała się głowa kobieca, w czerwonej chustce na rudych włosach, i poszeptała chwilę z Jadwisią, która, spostrzegłszy ją, wesoło ku drzwiom podskoczyła.

— Tatku! dziewczęta i parobki chcą towary kramarza zobaczyć. Czy można?

— Może-by i można; ależ kiedy ty pewno bardzo tego nie chcesz? — zażartował stary Korejba.

Jadwisia ręce opuściła na suknię i błagającym wzrokiem na ojca patrzyła. Bardzo jej się chciało zobaczyć towary kramarza.

— Czy masz męskie kamizelki? — wstając od okna, zapytał Stefan.

— Otwieraj, żydzie, tłomok swój, kiedy panna Jadwiga tak chce — huknął Tomkiewicz.

Oj nie trzeba było prosić go o to. Żwawy, jakby mu połowy lat i bied ubyło, sprężysty, jakby nigdy nie chorował, zerwał się ze stołka i przysiadł na ziemię, drżącemi od radości rękoma sznury worka rozwiązując. Co za szczęście! Przyszedł tu pojmany jak złodziej; mniemał, że wyszturchanym i złajanym, a może i do sądu zawleczonym zostanie; a tu, nietylko że, trochę pokrzyczawszy, siedzieć go proszono i po ludzku z nim rozmawiano, ale jeszcze i towary mu pokazać rozkazują... Może sprzeda, zarobi... Dziś środa, pojutrze do dzieci wracać trzeba... a tu jeszcze rubla do tygodniowych trzech brakuje. Zarobku! zarobku! na chleb i bańki dla niego, na chleb, kartofle i jakie takie łachmany dla dzieci!

Mistyk, rojący o przyszłym raju ziemskim, bezwiedny poeta, z pamięcią pełną starych przypowieści, wynędzniały suchotnik, z apatyczną rezygnacyą noszący po świecie swój głód i swoje łachmany

— zniknęli, a na ich miejsce zjawił się kramarz wiejski, usłużny, żwawy, z biegającemi od twarzy do twarzy oczyma, z latającym w ustach językiem.

— Kamizelki męskie? a jakżeż mam! czemu ja mam ich nie mieć? Panience może wstążeczki błękitnej? a paniczowi spinek do rękawów? Igły mam, szpilki, guziki, chustki różne, bardzo pięknych perkalów, złotne (złote) pierścionki, naparstki, nici, tasiemki... korunki... — Nawet drżenie nóg i chrypienie w piersi kędyś mu przepadły.

— Hej! Gdalku! — wpół seryo a wpół żartem zawołał Korejba — a cóż będzie z tym grochem, coś mi go zjadł? ha? może o tem pogadamy?

O! teraz już Gedali nie bał się wcale! Elastycznym krokiem i tylko dysząc głośno, przyskoczył do stołu, a kłaniając się przed gospodarzem domu, z filuternym uśmiechem zaczął:

— Przepraszam wielmożnego pana, u nas i na to przypowiastka jest.

— Król Salomon miał wielkie bogactwa — mówił dalej — a Joze, pastuch, był bardzo biedny. Raz ten Joze przyszedł w szabas do pałacu króla, obejrzał się, czy nikt nie widzi, i wziął ze stołu kawałek kugla. Ale jeden przyjaciel króla zobaczył jego, jak on kawałek kugla brał, i przyprowadził go do Salomona, a Salomon...

Tu Korejba, który patrząc na ruchliwą twarz żyda, aż za boki brał się ze śmiechu, zawołał:

— Ho, ho! Gdalku, tę przypowieść to już sam komponujesz; ja to z twojej miny widzę... to u was napisane nie stoi... Ale w twojej głowie tak stoi: Król Salomon Jozego za kawał kugla nie ćwiczył, ale dał mu jeszcze mąki na łokszynę, prawda, co?

— Prawda, wielmożny panie!

— No, to niech już sobie będę dziś królem Salomonem; niech moje przejdzie... dla starej znajomości z tobą. Nic ci złego za ten groch nie zrobię, a jesienną porą, jak będę miał okazyę do Wołpy, pół beczki kartofli dla dzieci twoich przyślę.

Żyd rzucił się do ręki mówiącego i całując ją z wielkiej radości, niewyraźnie bełkotał:

— Żeby wielmożny pan był taki szczęśliwy, jak ja panu życzę! Żeby pan sobie drugi taki folwark kupił! Żeby pan, nu, sto jeszcze takich pięknych synów i córek, jak te panicze i ta panienka wychował...

Korejbina na całą izbę wybuchnęła śmiechem z ostatniego życzenia żyda.

— A bodaj cię, żydzie! A bodaj cię! Oto piecie! Chory taki, a jeszcze język jak pytel!

Przed kominem gwarno było i tłumnie. Aby lepiej widzieć towary, dołożono na komin drzewa; ogień buchał ogromny i olśniewający. Gorąco zrobiło się w izbie jak w piekle, ale nikt na to nie zważał. Wszyscy tam byli przyzwyczajeni do wszystkiego. Dwaj młodzi parobcy, dwie dziewki i stara gospodyni wsunęli się pocichu i z rodziną pana domu utworzyli jednę, zaciekawioną i rozweseloną grupę.

Pośrodku, nad mnóstwem kolorowych lub połyskujących drobiazgów, siedział na ziemi Gedali, ożywiony, ruchliwy, zwracający się na wszystkie strony, rozwijający jaskrawe perkale i chustki, w dwóch palcach poruszający przed ogniem mosiężne naparstki, stalowe guziki, srebrne pierścionki. Jadwisia i Janek siedzieli także na ziemi grzebiąc w towarach, wybierając to i owo, szczebiocząc; Korejbina i Stefan stali za kramarzem, rozpościerając i oglądając kamizelki męzkie i kobiece chustki; parobcy i dziewki wychylali przed ogień szerokie bary, czerwone twarze, stara gospodyni nawet twarz skurczoną, bezzębną i szeroko roześmianą, zwieszała

nad głowami Jadwisi i Janka, szepleniącym głosem wołając o dwa łokcie perkalu na fartuch.

Trezor nawet wylazł z kąta, wmieszał się pomiędzy ludzi i, poszczekując, wciąż odpędzany, wciąż zabłoconemi łapy próbował po towarach chodzić.

* * *

Noc była ciemna i tylko w górze jaśniejąca niezliczonemi gwiazdami, kiedy Gedali z bramy folwarku znowu na pole wychodził. Wnet za bramą powitał go krzyk polnych świerszczów. W trawie przydrożnej i zielskach ugoru świerkały one wielkim chórem, ostro, przenikliwie i tak prędko, tak śpiesznie, jakby im pilno było wyśpiewać swoją pieśń i przed północą umilknąć. Na drodze, pod rozłożystemi wierzbami, było zupełnie czarno; po szerokich polach wiatr szumiał cicho i monotonnie. U stodoły, która tuż za bramą ciągnęła się nizkim cieniem, stała wysmukła i nieruchoma topola. Żyd przyszedł do topoli, zdjął z pleców tłómok i, przez chwilę szepcąc, rachował zarobek dzisiejszego wieczora. Sprzedał niemało, zarobił pół rubla i był bardzo kontent. Tylko było mu zimno i jeść chciał! Nic to! Jutro ogrzeje się na słońcu i podje sobie u szynkarza z Szumnej. Przestał rachować i spojrzał na gwiazdy. Pod nieruchomą topolą ramiona wzniósł w górę i mówił wieczorną modlitwę.

— Dziękuję ci, Panie świata, żeś naród mój wybrał pomiędzy wszystkimi narody!

Kaszel nim wstrząsnął; pod koszulą z wielkiemi dziurami po ciele wychudłem i ciemnem przebiegły dreszcze.

— Dziękuję Ci, Panie świata, że stworzyłeś mnie tak, jak chciałeś!

W kilka minut potem leżał nawznak, z głową na tłómoku, z rękami opadłemi na mokrą trawę. Zdaleka, z pola, dochodziło gwizdanie Stefana, który stróżował znowu nad kartoflami i grochem. W czarnej ciemności wierzbowej alei, zalęgniały kopyta konia, na którym Tomkiewicz do domu odjeżdżał, i w dali umilkły. Folwark był pogrążony we śnie. Daleko gdzieś grała trąbka pastusza. Świerszcze śpiewać przestały.

Gedali nie spał. Myślał o niespodzianym zarobku, który był winną jagodą na jego głogowym krzaku. A może, pomiędzy gwiaździstem niebem a bezsennemi jego oczyma, gorączka suchotnika zawiesiła ludzi-aniołów, którzy szli w górę i zstępowali na dół, aby siać słodkość i światłość na ziemi, na której kiedyś nie będzie już ani biedy, ani kłótni, ani takich, co płaczą i w sercu swem krzyczą, że im bardzo źle...

